DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 6

PRAWNA OBRONA § PRZED POLONOFOBIĄ

Prawo międzynarodowe
i ochrona pamięci historycznej

- Jakie narzędzia oferuje prawo międzynarodowe w kontekście obrony prawdy historycznej?
- Dlaczego niemieckie sądy utrudniają walkę z manipulacjami na temat II wojny światowej?
- „Wadliwe kody pamięci", czyli jak przekłamywana jest na świecie historia masowych zbrodni
- Materialny kontekst ochrony dobrego imienia państwa i narodu

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

TYGODNIK OPINII DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

Siedziba ONZ w Genewie
FOT. ADOBE STOCK

SPIS TREŚCI

53 ROZMOWA Z PROF. MICHAŁEM BALCERZAKIEM
WIELKIE ZADANIE DLA POLSKIEJ DYPLOMACJI
– Czasem wydaje nam się, że jesteśmy osamotnieni w dążeniu do prawdy, ale to nieprawda. Są państwa, które są niewątpliwie zainteresowane fałszowaniem historii o ofiarach, ale nie brakuje też krajów takich jak Polska – mówi prof. Michał Balcerzak

57 LECH OBARA I SZYMON TOPA
SPRAWIEDLIWOŚĆ PO NIEMIECKU
System sądowniczy RFN torpeduje prawo unijne dające polskim obywatelom możliwość walki o prawdę historyczną. Dlaczego wyroki polskich sądów nie są automatycznie wykonywane na terenie Niemiec?

61 SYLWESTER PIECKOWSKI
ODSZKODOWANIA TO PRAWO OFIAR
Prawo międzynarodowe nie uznaje przedawnienia zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. Nie uznaje także przedawnienia roszczeń o odszkodowania z tytułu takich zbrodni

64 WOJCIECH SIMON
WADLIWE KODY PAMIĘCI
Chociaż prawo do prawdy uznawane jest za jedno z podstawowych praw człowieka, to nie tylko Polacy zmagają się z problemem wrogiej narracji historycznej i przekłamywania faktów. Przeciwdziałać temu zjawisku próbują również przedstawiciele innych narodów i grup etnicznych, w przypadku których „skróty myślowe" przemieniają ofiary w katów

– Czasem wydaje nam się, że jesteśmy osamotnieni w dążeniu do prawdy, ale to nieprawda. Są państwa, które są niewątpliwie zainteresowane fałszowaniem historii o ofiarach, ale nie brakuje też krajów takich jak Polska – mówi prof. Michał Balcerzak *w rozmowie z Piotrem Włoczykiem*

Wielkie zadanie dla polskiej dyplomacji

PIOTR WŁOCZYK: Czy prawo międzynarodowe publiczne odnosi się do pamięci historycznej, szczególnie w kontekście ofiar drugiej wojny światowej?

PROF. MICHAŁ BALCERZAK: „Pamięć historyczna" to bardzo pojemne pojęcie, więc musimy wprowadzić pewne rozróżnienie. Czy mamy tu na myśli ustalenie tego, co zaszło, czy też mówimy o ochronie obiektywnej, już ustalonej prawdy czy też narracji. Jeżeli chodzi o odkrywanie prawdy, to jesteśmy w stanie znaleźć w prawie międzynarodowym pewne instrumenty, które mogą nam pomóc w ustaleniu faktów historycznych, szczególnie jeżeli mówimy o najpoważniejszych zbrodniach: ludobójstwie, zbrodniach wojennych oraz zbrodniach przeciw ludzkości. Mimo swoich ograniczeń proces przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze miał ogromne znaczenie dla odkrywania prawdy o zbrodniach drugiej wojny światowej. Współcześnie jednym z mechanizmów służących do ścigania i karania winnych najpoważniejszych zbrodni jest Międzynarodowy Trybunał Karny, działający na podstawie przyjętego w 1998 r. Statutu Rzymskiego. Ustanowiono też wiele „umiędzynarodowionych" sądów karnych dla ustalenia faktów i ukarania winnych zbrodni w takich państwach jak Sierra Leone, Kambodża czy Liban.

Nieco inaczej sprawa wygląda, jeżeli pytamy, czy prawo międzynarodowe oferuje nam coś, gdy problem tkwi nie w samym ustaleniu prawdy, ale w ochronie przed fałszowaniem narracji historycznej. Nawiasem mówiąc, nie uważam, że pojęcie „narracja" jest czymś złym, ponieważ myślimy przecież o tej prawdziwej narracji, czyli opowieści o faktach z naszej historii.

Jakie widać w tym kontekście możliwości?

Chociaż może się to wydać niektórym zaskakujące, to w prawie międzynarodowym znajdziemy dosyć dużo narracji historycznej. Kiedy państwa po drugiej wojnie światowej tworzyły od podstaw nowy ład międzynarodowy, zakładając m.in. Organizację Narodów Zjednoczonych, to jednym z głównych argumentów była chęć zabezpieczenia świata przed powtórką z koszmaru ludobójstwa i wszelkich innych zbrodni popełnionych w tamtym czasie. Chociaż trzeba też zauważyć, że o ile rzeczywistość powojenna pozwoliła na osądzenie niektórych zbrodni niemieckich, to już nie tych dokonanych przez sprawców sowieckich.

Historię piszą zwycięzcy...

Oczywiście. W preambułach traktatów czy innych dokumentów międzynarodowych często znajdują się odniesienia do tematu naszej rozmowy. Jeżeli przyjrzymy się choćby Powszechnej deklaracji praw człowieka z 10 grudnia 1948 r. czy Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa (uchwalonej przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych 9 grudnia 1948 r.), to zauważymy, że pamięć o ofiarach zbrodni popełnionych w czasie drugiej wojny światowej została niejako wpisana do katalogu wartości, które społeczność międzynarodowa uczyniła – przynajmniej w warstwie deklaratywnej – fundamentem nowego ładu.

Jednak czym innym jest odwoływanie się do inspiracji, a czym innym przewidywanie twardych mechanizmów, które broniłyby prawdziwej narracji, czyli opowieści o zbrodniach popełnionych w trakcie drugiej wojny światowej. Niestety nie ma osobnej umowy międzynarodowej, która przewidywałaby ochronę prawdy historycznej, dając nam tym samym do rąk klarowny mechanizm pozwalający na pociąganie do odpowiedzialności prawnej osób fałszujących prawdę historyczną.

Czy istnieje w takim razie jakiś pośredni mechanizm?

W prawie międzynarodowym mamy pewne „furtki". Od razu powiem jednak, że tych okazji nie ma zbyt dużo. Przykładowo dobre, choć wąskie rozwiązanie przewiduje prawo Unii Europejskiej. Mam na myśli Decyzję ramową Rady 2008/913WSiSW z 2008 r. o zwalczaniu „pewnych form i przejawów rasizmu i ksenofobii". Chodzi tu o negowanie najpoważniejszych zbrodni uznanych za takie w prawie międzynarodowym, nie tylko Holokaustu. Prawo unijne nakłada na państwa członkowskie obowiązek

FOT. ARCHIWUM PROF. MICHAŁA BALCERZAKA

ścigania takich zachowań. Muszą to być jednak akty umyślne i połączone z nawoływaniem do nienawiści lub podburzaniem do przemocy. A przecież gdy historyk, dziennikarz czy polityk mówi lub pisze nieprawdę na tematy historyczne, to rzadko czyni to z taką właśnie wyraźną intencją.

A co w przypadku, gdy niemiecka telewizja państwowa czyni Armię Krajową współwinną Holokaustowi, pokazując w swoim serialu polskie podziemie jako bandę antysemitów zabijających z przyjemnością Żydów?

Chociaż to bolesne dla Polaków, to w opisanym przez pana przypadku bardzo trudno byłoby skutecznie działać, używając instrumentów prawa międzynarodowego czy unijnego.

Inny przykład z niedalekiej przeszłości – rosyjskie MSZ ogłasza, że powstańcy warszawscy zajmowali się głównie zabijaniem Żydów.

W takim przypadku w grę powinny wchodzić intensywne działania dyplomatyczne. Elementem prawa międzynarodowego jest przecież prawo dyplomatyczne. Protesty i schładzanie relacji jak najbardziej podpadają pod prawo międzynarodowe. W stosunkach międzynarodowych można eskalować i używać różnych legalnych metod, by próbować zmienić zdanie danego państwa na temat historii. Pytanie, jak daleko chcemy iść w kierunku takiej eskalacji.

Szczególnie jeżeli jesteśmy dużo mniejszym partnerem w takiej dyskusji...

Czy zerwiemy w takim przypadku stosunki dyplomatyczne? Nie przypominam sobie w historii stosunków międzynarodowych sytuacji, by jedno państwo zerwało stosunki z drugim jedynie z powodu różnic w ocenie historii. Bardziej widzę tu rolę dla dyplomatów oraz historyków niż dla prawników. Z dużym żalem muszę przyznać, że jako prawnicy zajmujący się prawem międzynarodowym nie zawsze jesteśmy w stanie przydać się w takich sprawach.

Te problemy dotyczą nie tylko Polski. Spójrzmy na ludobójstwo Ormian z 1915 r. dokonane przez Turków. Armenia od lat pozostaje w sporze z Turcją, ale ostatnio to pierwsze państwo zyskało potężnego sojusznika – prezydent USA oficjalnie uznał tę zbrodnię, wbrew protestom Ankary, za ludobójstwo. Czy wobec tego cokolwiek grozi Turcji za zakłamywanie historii?

Turcja od lat konsekwentnie odmawia uznawania tych masowych mordów za ludobójstwo. Państwo to jest członkiem wielu organizacji międzynarodowych, w tym Rady Europy. Czy możliwe jest więc wystąpienie przeciwko Turcji do jakiegoś sądu międzynarodowego, np. Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ETPCz)? Żeby pociągnąć państwo do odpowiedzialności, trzeba się oprzeć na konkretnej normie prawnej, która zabrania kłamania na temat obiektywnie ustalonych faktów odnośnie do zbrodni ludobójstwa. Niestety, takiej „twardej" normy nie znajdziemy ani w Europejskiej konwencji praw człowieka, ani w innych traktatach międzynarodowych. Sądów międzynarodowych mamy kilka, ale wszczęcie sporu międzypaństwowego nigdy nie jest łatwe, a często jest po prostu niemożliwe w przyczyn prawnych. Żaden sąd międzynarodowy nie przyjmie roszczenia przeciwko państwu, które odmawia uznania obiektywnej prawdy historycznej albo ocenia „po swojemu" zdarzenia takie jak ludobójstwo.

Chociaż do ETPCz trafiła przynajmniej jedna sprawa związana z ludobójstwem Ormian.

Tak, ETPCz nieraz zajmował się sprawami, w których pojawiał się temat prawdy historycznej. W kwestii ludobójstwa Ormian trybunał rozpatrywał sprawę wniesioną przez polityka tureckiego Doğu Perinçeka, który w 2005 r., przebywając w Szwajcarii, zanegował ludobójstwo Ormian. Ostateczny wyrok zapadł w 2015 r. Trybunał podtrzymał wówczas decyzję, że polityk ten zmieścił się w granicach wolności ekspresji, i uznał, że grzywna, na którą skazali go Szwajcarzy, była środkiem nieadekwatnym, a zatem wobec tureckiego polityka naruszono Europejską konwencję praw człowieka. Warto zaznaczyć, że część sędziów ETPCz stwierdziła wówczas, iż trybunał nie powinien się uchylać od zawężenia ochrony wolności słowa w przypadku negowania aktów ludobójstwa. W orzecznictwie strasburskim często powtarzana jest teza, że ochronie podlegają opinie, które obrażają i szokują, ale trybunał ten nigdy nie uznał, iż ochronie podlegają jawne kłamstwa na temat „jasno ustalonych faktów historycznych".

Niestety, od roli strażnika prawdy historycznej ETPCz w pewnym sensie „uciekł" też w 2013 r. w sprawie katyńskiej (Janowiec i inni przeciwko Rosji). Powodem procesu było to, że Rosjanie umorzyli śledztwo w sprawie zbrodni katyńskiej i utajnili akta tego postępowania, w tym uzasadnienie postanowienia o umorzeniu. Zrobili to w 2004 r., gdy Rosja była już związana konwencją. Rodziny katyńskie chciały uzyskać dostęp do materiałów z rosyjskiego śledztwa, jednak bezskutecznie, stąd niektórzy krewni ofiar skierowali swoje kroki do Strasburga. Proces przed ETPCz nie skończył się niestety dobrze dla prawdy historycznej – Polaków spotkał duży zawód. Nikt nie oczekiwał od trybunału ustalania nieznanych faktów na temat zbrodni katyńskiej. Chodziło jedynie o uznanie, że Rosja pogwałciła Europejską konwencję praw człowieka, prowadząc śledztwo katyńskie w taki, a nie inny sposób, a następnie odmawiając dostępu do akt postępowania. Trybunał wykonał jednak unik i nie stwierdził odpowiedzialności Rosji za umorzenie śledztwa i utajnienie postanowienia o umorzeniu, przywołując argumenty dotyczące braku jurysdykcji temporalnej (upływ czasu pomiędzy zbrodniami z 1940 r. a przełomem XX i XXI w., gdy prowadzono śledztwo). To była ważna sprawa, ponieważ wypowiedzenie się prokuratury rosyjskiej na temat zbrodni katyńskiej wzmocniłoby wydźwięk ustaleń historyków. Rosja zdecydowała się jednak zamieść tę sprawę pod dywan i odmówić rodzinom ofiar wglądu w akta śledztwa.

Polska nie jest jedynym państwem na świecie, które jest zainteresowane obroną prawdziwej opowieści o drugiej wojnie światowej

Zbrodnia katyńska nie cieszy się takim rodzajem ochrony prawnej, jakim objęto Holokaust.

Karanie za negowanie Holokaustu jest od wielu lat powszechnie przyjętą normą i chyba nikogo to już dziś nie dziwi. To jednak wyjątek na tle innych przypadków ludobójstwa.

Czym jest „prawo do prawdy"? Szerzej pisze pan na ten temat w swoim opracowaniu opublikowanym w książce „Prawda historyczna a odpowiedzialność prawna za jej negowanie lub zniekształcanie" (pod redakcją Arkadiusza Radwana i Marcina Berenta).

W kontekście naszej rozmowy to bardzo ciekawe zagadnienie. Ta koncepcja została stworzona ok. 30 lat temu, gdy na różnych kontynentach upadały dyktatury i społeczeństwa domagały się poznania prawdy na temat popełnionych zbrodni. Chodziło o ustalenie losu ofiar reżimów, również zbrodni międzynarodowych.

Artykuł 32 I Protokołu dodatkowego do konwencji genewskich zobowiązuje państwa do dbania o „prawo do wiedzy rodzin o losie ich członków". Ta koncepcja pojawia się też w orzecznictwie m.in. Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Rodziny mają prawo do poznania prawdy. To element tzw. sprawiedliwości tranzytywnej. Ale wydaje się też, że beneficjentami tego prawa mogłyby być całe narody lub grupy etniczne.

„Prawo do prawdy" wciąż wypełniane jest treścią. Ta koncepcja coraz bardziej zyskuje na znaczeniu. Nic nie stoi na przeszkodzie, by grupa państw postanowiła, żeby prawo do prawdy potraktować jeszcze szerzej – jako prawo człowieka do zgodnej z prawdą narracji historycznej na temat tego, co dotyczy jego samego, jego rodziny lub narodu, z którego pochodzi, a także reagowania w przypadku pojawienia się szczególnie niebezpiecznych kłamstw historycznych.

Jak wspomniałem na początku naszej rozmowy, brakuje też traktatu czy choćby aktu „prawa miękkiego", który wykazywałby troskę społeczności międzynarodowej o zgodną z prawdą narrację historyczną. Jednak to, że nie ma takiej podstawy prawnej, nie oznacza, iż nie należy nic w tej sprawie robić.

Zachęca pan polską dyplomację do podjęcia inicjatywy na tym polu?

Tak, to zadanie przede wszystkim dla polskiej dyplomacji. Z pewnością nie jest to łatwa droga. Taka inicjatywa wymaga „pracy u podstaw" i zabierze zapewne wiele lat. Jako państwo nie powinniśmy tu sobie stawiać zbyt ambitnych celów, ponieważ nie sądzę, by udało się przyjąć w tej sprawie traktat międzynarodowy. Widzę jednak szansę, by małymi krokami wprowadzić tu standardy tzw. soft law, czyli wspomnianego „miękkiego prawa". Pamiętajmy, w prawie międzynarodowym niekiedy kodyfikujemy to, co

Siedziba Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze FOT. ADOBE STOCK

początkowo funkcjonuje jako „soft law". Potrzebujemy do tego odpowiedniego forum, zapewne najlepsze byłoby forum Organizacji Narodów Zjednoczonych. Myślą przewodnią powinna być troska o prawdziwość narracji historycznej w oparciu o rzetelną wiedzę historyczną.

Pytanie, na ile to realne, skoro dobrze wiemy, że nie brakuje państw, które są bardzo przywiązane do swojej wersji historii, która dla innych narodów jest nie do zaakceptowania.

Tylko że Polska nie jest jedynym państwem na świecie, które jest zainteresowane obroną prawdziwej opowieści o drugiej wojnie światowej. Nie tylko Polaków frustruje fałszowanie historii tego okresu. Pojawienie się tego tematu w środowisku międzynarodowym na pewno nam nie zaszkodzi, a jest szansa, że wyniknie z tego coś dobrego.

Kiedy słyszę hasło „prawo do prawdy", to od razu myślę o obławie augustowskiej – największej zbrodni popełnionej na Polakach po drugiej wojnie światowej. Wciąż żyją rodziny ofiar, które nie mogą się doczekać prawdy na temat swoich bliskich. To mógłby być dobry punkt wyjścia do polskich starań o poszerzenie zakresu „prawa do prawdy".

Jak najbardziej. Nie ma co udawać, że to będzie proste, ale widać też, że prawo międzynarodowe, w kontekście dążenia do prawdy, ewoluuje. Działalność Międzynarodowego Trybunału Karnego to wyraz tego, że społeczność międzynarodowa chce działać w tym zakresie. Czasem wydaje nam się, że jesteśmy osamotnieni w dążeniu do prawdy, ale to nieprawda. Są państwa, które są niewątpliwie zainteresowane fałszowaniem historii o ofiarach, ale nie brakuje też krajów takich jak Polska.

W tym kontekście należy wspomnieć o jeszcze jednym zagadnieniu: „prawie do zachowania pamięci". Widać to choćby w tzw. Zasadach ochrony i promocji praw człowieka poprzez zwalczanie bezkarności, opracowanych w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zasada nr 3, czyli „Obowiązek zachowania pamięci", oznacza m.in., że państwa mają obowiązek podejmować działania mające na celu „ochronę przed rozwijaniem argumentacji rewizjonistycznej i negacjonistycznej". Wprawdzie wspomniane „Zasady" są aktem „soft law", ale Polska i inne kraje zdecydowanie mogą się powoływać na zawarte tam postanowienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Michał Balcerzak *– jest doktorem habilitowanym nauk prawnych, pracuje na Wydziale Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.*

Lech Obara

Szymon Topa

Sprawiedliwość po niemiecku

System sądowniczy RFN torpeduje prawo unijne dające polskim obywatelom możliwość walki o prawdę historyczną. Dlaczego wyroki polskich sądów nie są automatycznie wykonywane na terenie Niemiec?

Od dłuższego czasu w debacie publicznej trwa polsko-niemiecka bitwa o narrację historyczną. Niemcy nie szczędzą pieniędzy i wysiłków, aby w opinii publicznej obozy zagłady kojarzono jedynie z Holokaustem, którego sprawcami byli naziści; ci zaś byli każdej narodowości, czyli również polskiej. Polacy zaś przekonują świat, że Holokaust to również rana i strata dla polskiego narodu, a okupacja niemiecka w Polsce miała dużo bardziej okrutny charakter niż na Zachodzie.

Bilans tej walki na razie nie wydaje się dla Polski korzystny. Symbolem niemieckiej polityki pamięci jest popularny na całym świecie niemiecki serial „Nasze matki, nasi ojcowie", a także widoczna w debacie publicznej solidarność niemieckich ośrodków kształtowania opinii publicznej, dbających o korzystny wizerunek historyczny Niemiec. Polska polityka historyczna kojarzy się zaś z kolejnymi interwencjami dyplomatów w zagranicznych redakcjach, nieudaną nowelizacją ustawy o IPN, a także polskimi środowiskami medialnymi i naukowymi prześcigającymi się w przekonywaniu, że sprawcami Holokaustu byli nie tylko Niemcy, lecz także w równym stopniu Polacy.

W sytuacji, kiedy polskie władze nie radziły sobie z niemiecką polityką historyczną, polscy obywatele postanowili sięgnąć po instrumenty prawne. Tak właśnie zrobił m.in. pan Karol Tendera. Sam doświadczył okrucieństwa niemieckiego okupanta. Do obozu w Auschwitz trafił po brutalnym przesłuchaniu przeprowadzonym przez gestapo. Codziennie walczył tam o przeżycie, ale i o poczucie własnej wartości. Jak wspominał, wielokrotnie był już gotowy, aby skoczyć „na druty" i zakończyć w ten sposób swoje cierpienie. Później, jako działacz społeczny, starał się przekazywać swoje wspomnienia młodzieży. Jak twierdził, za swoją misję uznał pielęgnowanie pamięci o cierpieniach tych współwięźniów, którzy nie mieli tyle szczęścia co on.

Pan Tendera zdecydował się wytoczyć pozew przeciwko niemieckiej telewizji ZDF o naruszenie jego dóbr osobistych za to, że na swojej stronie internetowej w zapowiedzi filmu dokumentalnego opisała ona Majdanek i Auschwitz jako „polskie obozy zagłady". Jak wyjaśniał na rozprawie przed sądem okręgowym w Krakowie: „Byłem w trzech obozach i we wszystkich wieszali, bili, katowali i palili Niemcy, nie Polacy. Nie wolno dać się zakrzyczeć, że to była pomyłka, ja tego nie zaakceptuję i nie zgadzam się na to!". Po trzyletnim procesie Sąd Apelacyjny w Krakowie w wyroku z dnia 22 grudnia 2016 r. nakazał ZDF opublikować na swojej stronie głównej oświadczenie, w którym przeprasza osobiście Karola Tenderę za naruszenie jego dóbr osobistych. W ten sposób ten były więzień stał się polską ikoną walki z „polskimi obozami".

BRUKSELA I

ZDF co do zasady nie podlega jurysdykcji polskich sądów. Nie byłoby możliwe pozwanie niemieckiej telewizji przed sądem polskim, gdyby nie przepisy Rozporządzenia Rady (WE) nr 44/2001 z dnia 22 grudnia 2000 r. w sprawie jurysdykcji i uznawania orzeczeń sądowych oraz ich wykonywania w sprawach cywilnych i handlowych, zwanego Brukselą I. Przewidziało ono sytuacje umożliwiające pozwanie jednostki przed sąd państwa, w którym nie ma ona swojej siedziby czy swojego miejsca zamieszkania.

Jednym z takich wyjątków był przepis art. 5 pkt 3 Brukseli I, zgodnie z którym „osoba, która ma miejsce zamieszkania [miejsce zamieszkania lub siedzibę] na terytorium państwa członkowskiego, może być pozwana w innym państwie członkowskim: m.in. w sprawach dotyczących czynu niedozwolonego lub czynu podobnego do czynu niedozwolonego – przed sądy miejsca, w którym nastąpiło lub może nastąpić zdarzenie wywołujące szkodę". Na gruncie tego przepisu w orzecznictwie TSUE przyjął się pogląd, ugruntowany przez orzeczenie z dnia 25 października 2011 r. w sprawie eDate Advertising i in. (C509/09 i C161/10, EU:C:2011:685), że w przypadku pomówienia dokonanego za pomocą Internetu, mającego nieograniczony zasięg, osoba poszkodowana może pozwać zagraniczny podmiot odpowiedzialny za to pomówienie w państwie, w którym

znajduje się jego tzw. centrum spraw życiowych. Najczęściej jest to miejsce zamieszkania osoby pomówionej lub jej siedziba (w przypadku jednostek organizacyjnych).

W przypadku Karola Tendery takim „centrum spraw życiowych" był oczywiście Kraków. Tam, gdzie się urodził i żył do końca swoich dni, udzielając się na rzecz upamiętnienia ofiar drugiej wojny światowej. Dlatego wniósł on pozew przed sądem krakowskim, który posiłkując się prawem unijnym, uznał się za uprawniony do orzekania wobec niemieckiej telewizji publicznej. W ten sposób prawo unijne stało się amunicją w sporze z dziennikarzami fałszującymi pamięć o sprawcach zbrodni popełnionych w obozach zagłady.

Ten sam akt prawny, który pozwolił polskiemu sądowi prowadzić sprawę przeciwko niemieckiej telewizji, miał potem stać się podstawą do prowadzenia egzekucji na terenie Niemiec. Pan Karol Tendera uznał, że ZDF nie wykonał wyroku Sądu Apelacyjnego w Krakowie. W rezultacie jego pełnomocnik wystąpił do Sądu Krajowego w Moguncji, właściwego miejscowo dla ZDF, z wnioskiem o uznanie wykonalności polskiego wyroku. Wniosek znalazł swoje uznanie i niemiecki sędzia dopuścił egzekucję przymusową polskiego tytułu egzekucyjnego, zarządzając nadanie mu klauzuli wykonalności. Pomimo zażalenia prawników ZDF Wyższy Sąd Krajowy w Koblencji podtrzymał stanowisko sądu niższej instancji.

Ponieważ ZDF nie pogodziło się z rozstrzygnięciem koblenckiego sędziego, została wniesiona skarga do Bundesgerichtshof (BGH) w Karlsruhe. Niemiecki odpowiednik polskiego Sądu Najwyższego z kolei nie miał skrupułów i wziął w obronę niemiecką rację stanu. Postanowieniem z dnia 19 lipca 2018 r. odmówił w swoim orzeczeniu uznania wykonalności prawomocnego polskiego wyroku. Powołał się przy tym na klauzulę „porządku publicznego", uznając, że treść przeprosin określonych przez Sąd Apelacyjny w Krakowie w części, w jakiej opisuje wypowiedź o „polskich obozach" jako fałszowanie historii i naruszenie dóbr osobistych byłego więźnia obozu koncentracyjnego, jest opinią. W efekcie niemiecki ZDF – w ich ocenie – byłby w ten sposób sądownie zmuszony do tego, aby opublikować i sygnować cudzą opinię (sic!). Tymczasem, jak twierdzi BGH, podstawową normą prawa niemieckiego jest wolność od głoszenia cudzych opinii.

FOT. ADOBE STOCK

KWESTIA PORZĄDKU

Klauzula porządku publicznego jest szczególną instytucją w prawie międzynarodowym, która chroni fundamenty systemu prawnego danego państwa przed ingerencją obcej normy prawnej. Ponieważ jest przejawem uchylania się przez dane państwo od realizacji zobowiązań prawnych wobec innego państwa, stosuje się ją wyjątkowo. Modelowym przykładem zastosowania klauzuli porządku publicznego jest wykluczenie możliwości uznania zagranicznego aktu małżeństwa, którego skutkiem byłoby usankcjonowanie bigamii.

Innym znanym przykładem jest kwestia uznawania amerykańskich wyroków zasądzających tzw. punitive damages, czyli odszkodowań mających charakter represyjny (sankcyjny). W Europie takie roszczenie jest uznawane za rażąco sprzeczne z kompensacyjnym charakterem odszkodowania. To właśnie z tego powodu córka Włodzimierza Cimoszewicza nie mogła liczyć na uznanie w Polsce amerykańskiego wyroku Sądu Obwodowego Hrabstwa Cook, w stanie Illinois, zasądzającego od wydawcy polskiego tygodnika „odszkodowanie karne" w wysokości 4 mln dol.

Nie sposób w kategoriach argumentacji prawnej zrozumieć, na czym polega oczywisty charakter sprzeczności pomiędzy sądowym nakazem opublikowania oświadczenia o określonej treści,

nałożonym na ZDF przez Sąd Apelacyjny w Krakowie, a przyjętymi w Niemczech zasadami ochrony swobody wypowiedzi, na którą powołał się BGH.

TSUE w orzeczeniu z dnia 28 kwietnia 2009 r. (Apostolides, C-420/07, EU:C:2009:271) zwrócił uwagę, że przepis art. 34 pkt 1 Brukseli I powinien być interpretowany w sposób ścisły, jako że stanowi on przeszkodę w realizacji jednego z podstawowych celów rozporządzenia, a powoływanie się na niego powinno mieć miejsce jedynie w wyjątkowych przypadkach. Powoływanie się na klauzulę porządku publicznego jest dopuszczalne jedynie w przypadku, gdy uznanie lub wykonanie orzeczenia wydanego w innym państwie członkowskim naruszałoby w sposób niedopuszczalny porządek prawny państwa wezwanego, ponieważ naruszałoby jedną z zasad podstawowych. Zakaz kontroli merytorycznej orzeczenia wydanego w innym państwie członkowskim będzie zatem zawieszony dopiero, jeżeli naruszenie będzie stanowić oczywiste naruszenie normy prawnej uważanej za zasadniczą dla porządku prawnego państwa członkowskiego, w którym wystąpiono o uznanie lub prawa uznanego za podstawowe w tym porządku prawnym.

Oczywistość naruszenia prawa niemieckiego w sprawie Karola Tendery powinna być dostrzegalna również przez niemieckich sędziów powszechnych. Oczywiste naruszenie prawa ma bowiem miejsce wtedy, kiedy jest ono widoczne dla każdego przeciętnego prawnika, bez konieczności dokonywania pogłębionej analizy. Tymczasem z orzeczenia Wyższego Sądu Krajowego w Koblencji, oddalającego zażalenie ZDF, wynika, że nawet jeśli orzeczony przez polski sąd nakaz opublikowania przez ZDF przeprosin określonej treści nie jest charakterystyczny dla prawa niemieckiego, to jednakże wciąż mieści się w przewidzianym przez to prawo katalogu roszczeń o usunięcie skutków naruszenia dóbr osobistych. W sytuacji zatem, kiedy sędziowie niemieccy w pierwszej i drugiej instancji nie rozpoznali rzekomo tak oczywistej sprzeczności pomiędzy polską normą prawną a niemiecką, musi budzić zastanowienie, jakimi kryteriami kierowali się sędziowie BGH, uznając polski wyrok za podważający fundamenty niemieckiego systemu prawnego.

Nie mniejsze zdziwienie wywołuje teza, że nakaz opublikowania przez ZDF, jako sprawcy naruszenia dóbr osobistych, przeprosin według ścisłych wskazówek Sądu Apelacyjnego w Krakowie jest sprzeczny ze swobodą wypowiedzi/wyrażania opinii. Nie wytrzymuje ona konfrontacji z orzecznictwem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ETPCz).

Orzeczenia polskich sądów, nakładające obowiązek opublikowania przeprosin, były przedmiotem oceny tego Trybunału (Błaja News, App. No. 59545/10; Kubaszewski, App. No 571/04; Gasior, App. No. 34472/07; Stankiewicz i inni, App No. 48723/07; Kania i Kittel, App. No. 35105/04; Kurski, App. No. 26115/10, Zybertowicz, App. No 65937/11). W sprawach tych ETPCz nigdy nie sformułował stanowiska, aby sądowe nakazanie przeprosin stanowiło formę narzucenia opinii, a przez to naruszało prawo do swobody wypowiedzi. ETPCz badał jedynie, czy w konkretnych okolicznościach sprawy zastosowana sankcja za skorzystanie z prawa do swobody wypowiedzi była konieczna w państwie demokratycznym (adekwatna). Mało tego, w sprawie Kubaszewski ETPCz uznało, że orzeczony wobec lokalnego wydawcy dziennika nakaz opublikowania przeprosin jest stosunkowo łagodny („relatively light"). Podobnie w sprawie Gasior ETPCz, oceniając dotkliwość orzeczonego nakazu przeprosin jako środka ochrony dóbr osobistych w kolizji z prawem do swobody wypowiedzi, uznał, że „skarżąca została jedynie zobowiązana do opublikowania przeprosin".

KOMISJA W SUKURS

BGH to niejedyny sojusznik niemieckich dziennikarzy. Komisja Europejska, na czele z Ursulą von der Leyen, choć chce się zwać „strażniczką traktatów", nie widzi żadnych przeszkód w tym, że niemieccy sędziowie stawiają się ponad przepisami prawa UE.

Orzeczenie BGH to rozstrzygnięcie najwyższego organu sądowego w Niemczech. Jest sygnałem dla niemieckich sędziów, aby od teraz odmawiały uznawania polskich wyroków nakazujących niemieckim wydawcom przepraszać polskich obywateli. Orzeczenie BGH w sprawie Karola Tendery godzi również w jeden z najważniejszych fundamentów UE, tj. w funkcjonowanie wolnego rynku. Obowiązywanie zasady uznawania w danym państwie członkowskim orzeczeń wydawanych przez sądy innego państwa członkowskiego ma za cel utrzymanie i rozwój obszaru wolności, bezpieczeństwa i sprawiedliwości, w którym zagwarantowany jest swobodny przepływ osób, a tym samym zapewnienie środków niezbędnych dla należytego funkcjonowania rynku wewnętrznego.

Komisja Europejska nie powinna ignorować, że najwyższy niemiecki organ sądowy dał wyraźny sygnał sądom powszechnym podległym mu judykacyjnie, aby w sporach pomiędzy niemieckimi podmiotami a obywatelami z innych państw członkowskich kierowały się potrzebą ochrony właśnie tych pierwszych, nawet jeśli będzie to godzić w obowiązek ochrony praw podstawowych (godności) tych drugich.

FOT. ADOBESTOCK

Tymczasem Komisja Europejska w odpowiedzi na petycję Stowarzyszenia „Patria Nostra" daje niemieckim instytucjom wolną rękę w stosowaniu prawa UE. Mianowicie w odpowiedzi szefowa biura gabinetu politycznego Salla Saastamoinen, w imieniu pani komisarz, stwierdziła, że Komisja Europejska nie ma kompetencji w zakresie określania granic, w jakich sądy państw członkowskich mogą odwoływać się do pojęcia porządku publicznego w celu odmowy uznania orzeczenia wydanego przez sąd innego państwa członkowskiego. Zrzekanie się przez Komisję Europejską kontroli nad tym, jak Niemcy wykonują wyżej opisane rozporządzenia UE, jest sygnałem dla niemieckich sądów, że mają one pełną swobodę w rozstrzyganiu spraw o uznawanie roszczeń zagranicznych wyroków wydanych przeciwko niemieckim podmiotom.

Bierność Komisji Europejskiej wobec łamania prawa UE przez niemiecki BGH nie jest jednak jedynym wsparciem udzielonym niemieckim wydawcom. Unijni urzędnicy uważają, że polscy obywatele domagający się ochrony swoich dóbr osobistych w związku z przypisywaniem Polakom utworzenia obozów zagłady nie powinni korzystać z dobrodziejstwa orzecznictwa TSUE pozwalającego uzasadnić polską jurysdykcję łącznikiem zwanym „centrum spraw życiowych".

Niestety, okazję do tego stworzył Sąd Apelacyjny w Warszawie. Skierował on do TSUE zapytanie prejudycjalne w sprawie szefa Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych Stanisława Zalewskiego przeciwko bawarskiemu wydawcy, który określił obóz zagłady w Treblince „polskim". Sąd nabrał bowiem wątpliwości, wbrew niemal 10-letniej praktyce orzeczniczej, czy powyższy łącznik „centrum spraw życiowych" ma zastosowanie do przypadków, gdy dyfamacyjna wypowiedź nie odnosi się wprost do konkretnej osoby.

KE, odpowiadając na pytanie polskiego sądu, wyraziła pogląd, że dotychczasowe orzecznictwo UE nie powinno mieć zastosowania do takich spraw jak w przypadku Karola Tendery czy Stanisława Zalewskiego. W takich sprawach to wydawcy niemieccy powinni być chronieni przed nadużywaniem roszczeń przez polskich obywateli. To sądy niemieckie powinny badać, czy pisząc o „polskich obozach", naruszyli dobra osobiste Polaków, a jeśli tak – to jakie mogą im przysługiwać roszczenia.

TSUE jeszcze nie wydał orzeczenia w tej sprawie, ale wypowiedział się już rzecznik generalny TSUE Michal Bobek, który nie podzielił stanowiska Komisji Europejskiej. W jego ocenie to polski sąd badający swoją jurysdykcję winien rozważyć, czy związek pomiędzy nim a zawisłym przed nim sporem prawnym jest na tyle „ścisły", aby nie zostało zagrożone prawidłowe sprawowanie wymiaru sprawiedliwości. Opinia rzecznika generalnego TSUE nie jest jednak wiążąca. Pozostaje liczyć na to, że sędziowie luksemburscy nie poddadzą się presji Komisji Europejskiej, która stanęła po stronie niemieckich wydawnictw. TSUE w sprawie Karola Tendery przeciwko ZDF nie miał szansy się wypowiedzieć. Teraz, w sprawie Stanisława Zalewskiego, TSUE ma szansę zachować swoją dotychczasową linię orzeczniczą i nie odbierać Polakom możliwości ochrony przed polskimi sądami dóbr osobistych naruszanych przez zagranicznych wydawców.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Mecenasi Lech Obara i Szymon Topa *– są członkami Stowarzyszenia „Patria Nostra", broniącego przed sądami dobrego imienia narodu polskiego.*

Sylwester Pieckowski

Odszkodowania to prawo ofiar

Prawo międzynarodowe nie uznaje przedawnienia zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. Nie uznaje także przedawnienia roszczeń o odszkodowania z tytułu takich zbrodni

Państwo Powalscy w 1937 r. Cała rodzina została wywieziona w 1941 r. do Niemiec na roboty. Pierwsza z prawej matka autora tekstu FOT. ARCHIWUM AUTORA

Godność narodu i państwa posiada komponent niematerialny i materialny. Obydwa powinny być formułowane i realizowane jednolicie, na tej samej aksjologicznej podstawie prawdy historycznej i poszanowania fundamentalnych zasad moralności i prawa, a także ochrony podstawowych praw człowieka. Walce o godność i dobre imię narodu oraz państwa polskiego, której najlepszym wzorem jest proces sądowy przeciwko niemieckiej telewizji publicznej ZDF, podjęty przed sądami polskimi i niemieckimi przez Karola Tenderę, powinny towarzyszyć tożsame troska i determinacja państwa polskiego w przywracaniu sprawiedliwości materialnej w stosunkach z Niemcami. Ich wyrazem powinno być uzyskanie pełnego odszkodowania za zbrodnie i szkody wojenne popełnione na terytorium okupowanej Polski przez III Rzeszę w latach 1939–1945.

JEDEN PROCENT DLA POLAKÓW

Polscy obywatele otrzymali od Niemiec w postaci różnych form rekompensaty ok. 600 mln marek niemieckich, co stanowiło mniej niż 1 proc. kwot wypłaconych przez Niemcy obywatelom Europy Zachodniej i Izraela.

PRL bez powodzenia podejmowała liczne próby uregulowania odszkodowań niemieckich. Zamiast reparacji Niemcy uruchomili kanał pośredniego wypłacania finansowego zadośćuczynienia, według własnego uznania, polskim ofiarom obozów koncentracyjnych, eksperymentów medycznych i robotnikom przymusowym deportowanym do niewolniczej pracy w III Rzeszy, za pośrednictwem Fundacji „Polsko-Niemieckie Pojednanie".

Fundacja ta w latach 1992–2004 wypłaciła świadczenia w kwocie

689,97 zł na osobę. Większość poszkodowanych zmarła, nie doczekawszy się zadośćuczynienia. Strona niemiecka oficjalnie głosi, że wypłacone zadośćuczynienie stanowi pełne odszkodowanie wojenne, co jest oczywistym nonsensem i kłamstwem. Berlin używa obecnie następującej formuły, którą wyartykułował ambasador RFN Rolf Nikel w listopadzie 2017 r.: „Nie ma żadnej wątpliwości, że Niemcy ponoszą moralną odpowiedzialność za potworne zbrodnie w Polsce podczas drugiej wojny światowej. I celowo mówię tu o Niemcach, a nie o nazistach, ponieważ za tymi zbrodniami stali niemieccy żołnierze, którzy zabijali w imieniu Niemiec". Jednak w dalszej części wypowiedzi ambasador Nikel przeszedł do zdumiewającej konkluzji: „Kwestia reparacji wojennych jest już jednak prawnie i politycznie zamknięta. Nasze władze w Berlinie wielokrotnie to podkreślały".

Tymczasem prawo międzynarodowe nie uznaje przedawnienia zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości, nie uznaje także przedawnienia roszczeń o odszkodowania z tytułu takich zbrodni. Prawdziwego pojednania nie będzie bez przyjęcia przez rząd Niemiec odpowiedzialności materialnej wobec Polski jako państwa ofiary agresji oraz wobec polskich obywateli, ofiar wojny i ich rodzin.

Roszczenia reparacyjne państw-ofiar konfliktów zbrojnych są tradycyjną metodą „rozliczania" kosztów wojen między państwami na płaszczyźnie publicznoprawnej. Niezależnie i obok roszczeń reparacyjnych przeciwko państwom sprawcom zbrodni ludobójstwa i zbrodni przeciwko ludzkości mogą być również dochodzone roszczenia odszkodowawcze osób pokrzywdzonych na podstawie prawnej deliktu, czyli czynu niedozwolonego. W odniesieniu do polskich pokrzywdzonych roszczenia te przysługują ofiarom zbrodni wojennych i ich spadkobiercom oraz mogą być dochodzone przed sądami powszechnymi według ich właściwości przedmiotowej i miejscowej, na podstawie prawa polskiego i UE. Polscy skarżący podejmowali wielokrotne próby wniesienia pozwów do sądów niemieckich jako właściwych z uwagi na podmiotowość strony pozwanej, tj. rządu RFN. Bez powodzenia, gdyż sądy te generalnie odrzucały pozwy jako niedopuszczalne przedmiotowo (na podstawie niemieckiej tezy, że państwo nie może być pozywane przez osobę fizyczną za zbrodnie wojenne), przedawnione lub sprzeczne z zasadami porządku publicznego RFN. W tej sytuacji jedynym forum, przed którym polski obywatel może dochodzić sprawiedliwości z tytułu szkód wojennych, jest polski sąd państwowy.

Niestety, w świetle obowiązującego prawa i orzecznictwa Sądu Najwyższego ta droga także jest dla polskiego obywatela niedostępna z jednego tylko powodu, na który powołuje się rząd RFN: instytucji immunitetu jurysdykcyjnego i egzekucyjnego państwa, utrwalonej jako norma zwyczajowa prawa międzynarodowego, która stanowi, że zgodnie ze średniowieczną zasadą „par in parem non habet imperium" („równy nie ma władzy nad równym"), RFN nie może być pozywana przed sądami obcych państw. W wyniku ewolucji tej instytucji w praktyce międzynarodowej, zapoczątkowanej w USA (tzw. Tate Letter z 1952 r. i amerykańska ustawa Foreign Sovereign Immunities Act of 1976), obecny kształt i zakres stosowania immunitetu został ograniczony tylko do aktów władczych państw, czego wyrazem są podpisane konwencje o immunitecie jurysdykcyjnym: Europejska Konwencja o Immunitecie Państwa z 1972 r. oraz Konwencja ONZ z 2004 r. Konwencje te nie weszły jeszcze w życie z uwagi na niską liczbę ratyfikacji. Polska nie podpisała żadnej z nich.

Nie ma tu nadal jasności i zgodności poglądów sądów oraz nauki, czy czyny niedozwolone, w tym zbrodnie wojenne, popełnione przez państwo agresora mogą korzystać z zasłony immunitetu jako akty władcze. Stanowisko sądów i rządu RFN jest w tej kwestii kategoryczne i brzmi: akty wojenne i ich pochodne są wyrazem aktów władzy państwowej i jako takie nie podlegają osądowi obcych państw, korzystając z pełnego immunitetu jurysdykcyjnego i egzekucyjnego. Zgodnie z art. 9 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z 1997 r. Polska przestrzega powszechnie obowiązującego prawa międzynarodowego, które ma pierwszeństwo przed polskimi ustawami. W ten sposób niepisana norma proceduralna międzynarodowego prawa zwyczajowego, jaką jest immunitet jurysdykcyjny i egzekucyjny, jest skutecznie stosowana przez rząd RFN w blokowaniu roszczeń odszkodowawczych polskich obywateli wnoszonych do sądów polskich. Z tego powodu polski obywatel nie może zrealizować swego konstytucyjnego prawa do sądu, a jego prawo do ochrony czci i godności oraz własności, także mocno ugruntowane w konstytucji, staje się uprawnieniem pustym.

Są dwie drogi pokonania tego impasu. Pierwsza to uchwalenie polskiej ustawy o immunitecie jurysdykcyjnym i egzekucyjnym państwa, która przesądziłaby o wyższości norm konstytucyjnych RP nad normami procesowymi międzynarodowego prawa zwyczajowego, takimi jak immunitet jurysdykcyjny. Druga to podpisanie i ratyfikowanie konwencji europejskiej oraz konwencji ONZ. Z tych dwóch rozwiązań znacznie lepsze jest to pierwsze, gdyż jest szybsze i nie ogranicza roszczeń z okresu drugiej wojny światowej, natomiast rozwiązania konwencyjne mają co do zasady wyłącznie zastosowanie prospektywne.

Prawdziwego pojednania nie będzie bez przyjęcia przez rząd Niemiec odpowiedzialności materialnej wobec Polski jako państwa ofiary agresji oraz wobec polskich obywateli, ofiar wojny i ich rodzin

W celu wyjaśnienia tej sytuacji zwróciłem się w 2020 r. do Ministra Sprawiedliwości z propozycją podjęcia inicjatywy ustawodawczej prowadzącej do uchwalenia polskiej ustawy o immunitecie jurysdykcyjnym i egzekucyjnym państwa. W odpowiedzi ministerstwo napisało, że krok ten jest przedwczesny, gdyż Polska najpierw powinna przystąpić do konwencji europejskiej i konwencji ONZ i dopiero na tej podstawie napisać własne prawo. Takie stanowisko uważam za gorszy wybór i unik taktyczny. Przede wszystkim oznacza to długotrwały proces tworzenia prawa, a roszczenia polskich obywateli nadal będą przez polskie sądy konsekwentnie odrzucane, tak jak do tej pory, co zilu-

struję dwiema sprawami rozstrzygniętymi przez Sąd Najwyższy RP w latach 2010 i 2019.

TRAGEDIA DWOJGA DZIECI

Winicjusz Natoniewski w pozwie z dnia 29 października 2007 r. skierowanym przeciwko Republice Federalnej Niemiec wniósł o zasądzenie na jego rzecz od strony pozwanej kwoty miliona złotych tytułem zadośćuczynienia za krzywdę doznaną podczas pacyfikacji przez niemieckie siły zbrojne w czasie drugiej wojny światowej miejscowości Szczecyn, położonej w województwie lubelskim. Pacyfikacja ta, podczas której wysiedlano ludność, dokonywano egzekucji, palono zabudowania oraz rabowano mienie, przeprowadzona została 2 lutego 1944 r. W jej wyniku śmierć poniosło kilkuset mieszkańców. Według twierdzeń pozwu powód, wówczas sześcioletnie dziecko, doznał w następstwie akcji niemieckich sił zbrojnych licznych, rozległych poparzeń głowy, klatki piersiowej oraz obu rąk, z czym zmagał się przez całe życie.

Postanowieniem z dnia 8 listopada 2007 r. sąd okręgowy odrzucił pozew na podstawie art. 1099 k.p.c. bez doręczania go stronie pozwanej ze względu na brak w sprawie jurysdykcji krajowej.

Zażalenie powoda na postanowienie sądu okręgowego z dnia 8 listopada 2007 r. Sąd Apelacyjny oddalił postanowieniem z dnia 13 maja 2008 r., podzielając pogląd leżący u podstaw rozstrzygnięcia zawartego w zaskarżonym postanowieniu.

Sąd Najwyższy przyznał rację moralną panu Natoniewskiemu, ale stwierdził, że nie można pozwać strony niemieckiej, ponieważ ta skutecznie zasłania się instytucją immunitetu.

Druga sprawa jest dla mnie bardzo osobista. Od 2016 r. walczę przed polskim sądem o odszkodowanie za cztery lata niewolniczej pracy mojej mamy, która zmarła rok wcześniej. Gdy w latach 90. pojawiła się szansa uzyskania świadczeń od Fundacji „Polsko-Niemieckie Pojednanie", mama poprosiła mnie, żebym jej w tym pomógł. Sporządziłem wnioski w imieniu jej i jej brata, który również został wywieziony wraz z nią na roboty pod Królewiec na wielką farmę mleczną.

W wyniku postępowania mama usłyszała odmowę, gdyż okazało się, że jej nazwisko zniknęło z dokumentacji niemieckiej. Jak do tego doszło? Niemcy starali się to ukryć jeszcze w czasie wojny, ponieważ nawet w świetle prawa III Rzeszy nie wolno było angażować do pracy 12-letniego dziecka. Mama nie dostała świadczenia z fundacji i bardzo to przeżyła. Świadczenie dostał za to wujek: 2,5 tys. zł za cztery lata pracy niewolniczej...

W pozwie skierowanym przeciwko rządowi RFN domagałem się 663 tys. zł. To czteroletnie wynagrodzenie dla pracownika rolnego wraz z odsetkami i korektą inflacyjną oraz odszkodowanie za stracone szanse mojej mamy – spędziła cztery lata dzieciństwa, harując za darmo na roli, zamiast uczyć się w szkole. Rozpocząłem tę sprawę we wrześniu 2016 r., składając pozew w Sądzie Okręgowym w Płocku (mama została wywieziona na roboty, gdy mieszkała w tej okolicy). Pozew został przyjęty do rozpoznania i skierowany – przez ambasadę polską w Berlinie – do urzędu kanclerskiego w Berlinie. Strona niemiecka nie podjęła działań procesowych. Dokumenty zostały zwrócone z komentarzem: „Brak zgody na przyjęcie z uwagi na immunitet jurysdykcyjny RFN w sprawach iure imperii". Sąd okręgowy przyjął tę argumentację bez zastrzeżeń, a następnie Sąd Apelacyjny podzielił zdanie sądu okręgowego. Ewidentnie strona niemiecka nie ma zamiaru poddać się jurysdykcji sądu polskiego. Wniosłem więc skargę kasacyjną do SN, który po roku ustosunkował się do niej, odpowiadając, że nie rozpozna jej, ponieważ „nie zawiera nowych zagadnień prawnych". To jest ostateczne rozstrzygnięcie, od którego można się odwołać do Sądu Najwyższego tylko w trybie skargi nadzwyczajnej.

Sąd Najwyższy wyjaśnił w krótkim uzasadnieniu, że obecnie w Polsce, podobnie jak w innych państwach, za powszechnie przyjętą zasadę uznaje się, że państwo obce posiada immunitet jurysdykcyjny tylko w sprawach związanych z władczą działalnością (acta iure imperii), nie przysługuje mu on natomiast w sprawach związanych z udziałem w zwykłym obrocie cywilnym i gospodarczym (acta iure gestionis). Sąd uznał, że agresja zbrojna Niemiec i okupacja Polski stanowiły wyraz aktu władczego III Rzeszy i jako takie nie podlegają ocenie oraz osądzeniu przez polski sąd, niezależnie od podstawowego faktu, iż działania te stanowiły przestępstwo wojenne i jako takie nie powinny korzystać z zasłony immunitetu.

WŁOSKI PRZYKŁAD

Obecny kształt instytucji immunitetu państwa, utrwalony w zwyczajowym prawie międzynarodowym, przy ciągłym braku wiążącej regulacji konwencyjnej oraz braku odpowiedniej regulacji tej instytucji w prawie polskim, wskazuje, że jedynym rozwiązaniem tego problemu będzie podjęcie inicjatywy ustawodawczej przez Sejm RP w drodze wniosku do Trybunału Konstytucyjnego RP o stwierdzenie niekonstytucyjności przepisów Kodeksu postępowania cywilnego, które udzielając pierwszeństwa procesowej normie zwyczaju międzynarodowego, efektywnie odbierają konstytucyjne prawo do sądu obywatelom polskim dochodzącym roszczeń odszkodowawczych z tytułu zbrodni wojennych III Rzeszy popełnionych na terytorium Polski w latach 1939–1945. Taki wniosek grupa posłów na Sejm skierowała już do Trybunału Konstytucyjnego 15 grudnia 2020 r. Sprawa oczekuje na rozpatrzenie.

Licząc na pozytywną odpowiedź Trybunału Konstytucyjnego, jako dobry i zachęcający przykład pragnę wskazać precedensowy wyrok Sądu Konstytucyjnego Republiki Włoskiej nr 238 z 24 października 2014 r. Wyrok konkluduje, że normy porządku konstytucyjnego o charakterze bezwzględnie obowiązującym ius cogens, takie jak prawo obywatela do sądu, prawo do ochrony czci i godności, mają pierwszeństwo przed normą proceduralną zwyczajowego prawa międzynarodowego, jaką jest immunitet jurysdykcyjny państwa obcego. Oznacza to, że włoscy obywatele mają szansę domagać się przed włoskimi sądami odszkodowania za niemieckie zbrodnie popełnione w czasie wojny we Włoszech. Polacy zasługują, by państwo wyposażyło nas w podobny instrument prawny, który uniemożliwi Niemcom uchylanie się od odpowiedzialności za zbrodnie popełnione na naszym narodzie w latach 1939–1945.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Sylwester Pieckowski *– jest adwokatem, specjalizuje się w rozwiązywaniu sporów gospodarczych w trybie negocjacji, arbitrażu i mediacji. Od 2016 r. walczy o odszkodowanie od Niemiec za pracę niewolniczą swojej matki.*

Wadliwe kody pamięci

Wojciech Simon

Chociaż prawo do prawdy uznawane jest za jedno z podstawowych praw człowieka, to nie tylko Polacy zmagają się z problemem wrogiej narracji historycznej i przekłamywania faktów. Przeciwdziałać temu zjawisku próbują również przedstawiciele różnych narodów i grup etnicznych, w przypadku których „skróty myślowe" przemieniają ofiary w katów

Termin „wadliwe kody pamięci" do dyskursu naukowego wprowadził prawnik i ekonomista prof. dr hab. Artur Nowak-Far, wykładowca Szkoły Głównej Handlowej i były wiceminister spraw zagranicznych, który – wraz z Łukaszem Zamęckim – był redaktorem wydanej w roku 2015 książki „Wadliwe kody pamięci. Zniekształcenie pamięci o zbrodniach międzynarodowych w dyskursie publicznym".

Chodzi o krótkie zbitki językowe i „skróty myślowe" chętnie używane przez media w różnych krajach świata, które tworzą u odbiorców wypaczony obraz świata, sprawiając, że nieznający historii przypadkowy słuchacz może łatwo pomylić ofiary masowych zbrodni z ich sprawcami.

Skrótowy charakter tego typu chwytliwych „uproszczeń" sprawia, że zakorzeniają się one w języku i w pamięci tysięcy lub milionów odbiorców, nie tylko utrudniając narodom, które padają ofiarą nieuczciwej narracji, walkę o dobre imię, lecz także trwale wprowadzając fałszywe narracje do globalnej, regionalnej, narodowej i lokalnej pamięci.

Fałszywe kody pamięci są szczególnie niebezpieczne w połączeniu z kiepską

FOT. ADOBE STOCK

edukacją historyczną oraz ignorancją, niechlujstwem wielu dziennikarzy i redaktorów lub wręcz celowym wprowadzaniem odbiorców w błąd przez media, które doskonale wiedzą lub przynajmniej powinny wiedzieć, że dokonują historycznej manipulacji.

„Wadliwe kody pamięci na ogół są rezultatem ignorancji – nie należy jednak wykluczać, że mogą być używane celowo albo po to, by obrazić jakąś grupę, albo przynajmniej reprodukować subtelny sygnał własnej dla niej, a niekiedy bardziej lub mniej skrywanej pogardy" – zauważa prof. Nowak-Far.

Te błędne kody są szczególnie groźne, ponieważ łatwo mogą zniekształcać świadomość zbiorowego odbiorcy, co w konsekwencji prowadzić może do utraty dobrej reputacji, a także wymiernych szkód społecznych, politycznych czy gospodarczych. Jeśli takie fałszywe narracje zaczynają przeważać, to niszczą one również porządek moralny społeczeństw i trwale uniemożliwiają lub przynajmniej znacząco utrudniają komunikację między narodami.

NIEMIECKIE OBOZY ZAGŁADY

Terminu „wadliwe kody pamięci" w odniesieniu do kłamstwa historycznego niemal od dekady używa również polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które od 2004 r. prowadzi kampanię przeciw „polskim obozom koncentracyjnym". Wśród Polaków przykładem takiego błędnego kodu, który budzi największe emocje, jest bowiem właśnie kłamliwe sformułowanie „polskie obozy zagłady". Sugeruje ono niedostatecznie wykształconym czytelnikom lub widzom, że to Polacy organizowali lub prowadzili takie obozy, chociaż prawda jest taka, że robili to niemieccy żołnierze na terenach okupowanej przez nich Polski. Jednocześnie, choć niemieckie obozy istniały w wielu krajach Europy, nikt nie pisze o „austriackich obozach" czy „czeskich obozach koncentracyjnych".

Właśnie z tego powodu Polska już w 2006 r. poprosiła UNESCO o oficjalną zmianę nazwę obozu Auschwitz-Birkenau na „ Auschwitz-Birkenau. Niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny i zagłady." I chociaż ta nazwa funkcjonuje już niemal dwie dekady, to wciąż w mediach brytyjskich, amerykańskich, niemieckich,

francuskich, duńskich, austriackich, norweskich, izraelskich, słowackich, włoskich czy hiszpańskich, pojawiają się nieprawdziwe i szkalujące dobre imię Polaków określenia typu „polski obóz zagłady", „polskie komory gazowe", „polskie ludobójstwo" czy „polskie SS".

O tym, jak groźne mogą być tego typu „wadliwe kody pamięci", świadczy choćby fakt, że terminu „polski obóz śmierci" w maju 2012 r. użył nawet prezydent Stanów Zjednoczonych Barack Obama i – co gorsza – zrobił to podczas ceremonii pośmiertnego uhonorowania Prezydenckim Medalem Wolności Jana Karskiego – człowieka, który jako jeden z pierwszych opowiedział Rooseveltowi o Holokauście i błagał o podjęcie działań, które uratowałyby więźniów wysyłanych do obozów zagłady. Mimo długoletniej walki polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, polskich dziennikarzy oraz organizacji pozarządowych, takich jak choćby Reduta Dobrego Imienia, kłamliwe pojęcia i terminy pojawiają się w mediach nawet w trzeciej dekadzie XXI w. Na szczęście konsekwentne żądania sprostowania i przeprosin sprawiły, że liczba odnotowywanych przypadków publikacji „wadliwych kodów pamięci" w wielu krajach spada. Zdecydowana większość interwencji kończy się zaś publikacją sprostowania, przeprosinami oraz obietnicą, że dany błąd więcej już się nie powtórzy. Polscy dyplomaci we współpracy z organizacjami pozarządowymi od lat prowadzą również intensywne działania skierowane na pozytywne prezentowanie za granicą najnowszej historii Polski, w tym stosunków polsko-żydowskich. Najskuteczniejszą formą są bowiem projekty edukacyjno-historyczne, które zapobiegają publikacjom informacji z wadliwymi kodami pamięci, a nie tylko interwencje post factum.

„LUDOBÓJSTWO ORMIAŃSKIE"?

Walkę o dobre imię i o prawdę historyczną od wielu dekad prowadzą również Ormianie. Mimo że rzeź Ormian jest drugim po Holokauście najlepiej udokumentowanym i opisanym ludobójstwem dokonanym przez władze państwowe na grupie etnicznej w czasach nowożytnych, oni również mają problem z próbami fałszowania historii.

Podobnie mylącym terminem jak „polskie obozy zagłady" są w zachodniej literaturze i w zachodnich mediach książki i artykuły dotyczące tzw. Armenian Genocide, czyli „ludobójstwa ormiańskiego". Chociaż dla wykształconego czytelnika wydawałoby się oczywiste, że chodzi o zbrodnie, których ofiarą po roku 1915 padli Ormianie, dla zachodniego czytelnika, który nie ma pojęcia o historii XX w., taki termin może budzić odwrotne skojarzenia.

Szkodliwa manipulacja historyczna jest w tym wypadku tym bardziej możliwa, że opinia międzynarodowa długo nie chciała pamiętać o ludobójstwie dokonanym na Ormianach przez Turków. I to mimo że w imperium osmańskim wymordowano w ciągu kilku lat od 1,2 do 1,4 mln osób, z czego część ofiar wymordowano w wyjątkowo barbarzyński sposób. A przecież tylko w Konstantynopolu aresztowano kilkuset przedstawicieli inteligencji ormiańskiej: nauczycieli, lekarzy, kapłanów, których bez żadnego sądu natychmiast zgładzono. 24 kwietnia 1915 r. tureckie władze wydały bowiem rozkaz mordów i masowych wysiedleń Ormian. Inicjatorem masowych mordów i deportacji był ówczesny minister spraw wewnętrznych Talaat Pasza. Wielu Ormian spalono żywcem, powieszono, utopiono lub strącono w górskie przepaści. Tych, których nie zabito od razu, wypędzano w straszliwych marszach śmierci – podczas których ludzie ginęli z pragnienia i głodu – do obozów na pustyni. Duża część Ormian została zmuszona do ucieczki, w efekcie czego do dziś więcej Ormian mieszka w diasporze niż w samej Armenii.

Turcy do dziś bronią się, że duża liczba zgonów Ormian była po prostu wynikiem głodu i złych warunków panujących podczas deportacji oraz pierwszej wojny światowej, pomijając milczeniem fakt, że imperium osmańskie mordowało Ormian jeszcze pod koniec XIX w. Do tej mniej lub bardziej zamierzonej ignorancji światowej opinii publicznej miał nawet w latach 30. nawiązywać Adolf Hitler. „Kto dziś pamięta o rzezi Ormian?" – pytał retorycznie przywódca III Rzeszy, zapowiadając zbrodnie wojenne dokonywane na polskiej ludności od początku drugiej wojny światowej.

23 kwietnia 2015 r., w setną rocznicę ludobójstwa, Apostolski Kościół Ormiański kanonizował półtora miliona ofiar ludobójstwa sprzed stu lat. „To na nas, Ormianach, ciąży obowiązek moralny i prawo pamiętania o półtora milionie naszych przodków, którzy zostali zamordowani, i o setkach tysięcy osób, które przeszły nieludzkie doświadczenia" – podkreślał zaś prezydent Armenii Serż Sarkisjan.

Ormianie nie tylko utworzyli Mauzoleum Ofiar Ludobójstwa, lecz także walczą o to, aby odpowiednio prowadzona polityka historyczna pozwoliła zachować godną pamięć o wielkiej ofierze tego narodu.

Uroczystości związane z setną rocznicą ludobójstwa odbywały się więc we wszystkich tych miejscach, w których żyją większe skupiska Ormian: od Bejrutu poprzez Los Angeles do Paryża i Sztokholmu. Marsz Milczenia przeszedł również pod ambasadę Turcji w Warszawie (przybyli na niego również Ormianie z Łodzi, Krakowa, Katowic etc.). W wielu miastach świata, w tym w polskiej stolicy, co roku 24 kwietnia społeczność ormiańska obchodzi rocznicę upamiętniającą rozpoczęcie eksterminacji ich narodu. Dzięki działaniom Ormian ludobójstwo Ormian oficjalnie uznało ok. 30 państw na całym świecie, w tym m.in. Argentyna, Armenia, Austria, Australia, Belgia, Bułgaria, Chile, Cypr, Francja, Grecja, Holandia, Kanada, Liban, Litwa, Niemcy oraz Polska (w 2005 r.). Fakt ten uznali również papież Jan Paweł II, Parlament Europejski oraz Rada Europy.

W grudniu 2019 r. ludobójstwo Ormian uznał amerykański Senat. Ormianom długo nie udawało się do tego przekonać kolejnych gospodarzy Białego Domu. W 2017 r. prezydent Donald Trump nazwał masakrę Ormian „jednym z najstraszniejszych masowych okrucieństw XX w.", unikając jednak terminu „ludobójstwo". Dopiero 24 kwietnia 2021 r. rzeź Ormian ludobójstwem nazwał oficjalnie prezydent Stanów Zjednoczonych Joe Biden, co wywołało natychmiast istotne napięcie na linii USA-Turcja, gdyż takie stanowisko Białego Domu może stanowić przykład dla reszty cywilizowanego świata.

Oficjalny komunikat wydał też natychmiast szef tureckiej dyplomacji Mevlüt Çavuşoğlu, który w swoim oświadczeniu podkreślił, że „nikt nie może nas uczyć na temat naszej historii".

Do dziś władze Turcji nie chcą bowiem uznać wydarzeń z początku XX w. za ludobójstwo. Negowanie ludobójstwa jest zaś kluczowym elementem polityki historycznej Ankary zarówno na scenie międzynarodowej, jak i wewnętrznej (Turcy grożą retorsjami każdemu pań-

stwu, które uzna ludobójstwo Ormian, a w tureckich szkołach dzieci uczą się o „ormiańskich kłamstwach"). Przykładem skutecznej interwencji Turcji na arenie międzynarodowej było odwołanie w ostatniej chwili w 2018 r. głosowania w sprawie oficjalnego uznania przez Izrael zagłady Ormian w państwie tureckim za ludobójstwo. Projekt – na prośbę izraelskiego MSZ – wycofała przywódczyni Merecu Tamar Zandberg, która sama wcześniej go zgłosiła.

Wielkim sukcesem polityki historycznej Ormian było z kolei skłonienie liderów Unii Europejskiej do przedstawienia władzom w Ankarze jednoznacznego komunikatu: przyznanie się Turcji do ludobójstwa Ormian jest jednym z warunków przyjęcia Turcji do Unii Europejskiej.

Bardzo liczna ormiańska mniejszość we Francji skłoniła władze w Paryżu do przyjęcia najtwardszego stanowiska w tej sprawie: izba niższa parlamentu Francji w 2016 r. uchwaliła prawo przewidujące do roku więzienia i aż 45 tys. euro grzywny za każde publiczne negowanie faktu ludobójstwa Ormian w latach 1915–1917, rozszerzając przepisy dotyczące negowania Holokaustu.

„LUDOBÓJSTWO TUTSI" I „EKSTERMINACJA HERERO"

Przykładem „wadliwego kodu pamięci" jest również termin „ludobójstwo Tutsi". Termin ten nawiązuje do krwawych wydarzeń, do których doszło w Rwandzie w 1994 r.

6 kwietnia 1994 r. zestrzelono samolot z prezydentem Rwandy, Juvénalem Habyarimaną, na pokładzie. O zamach członkowie ludu Hutu oskarżyli Tutsi, których już wcześniej w rządowych mediach nazywano „robactwem". Antagonizmy między Hutu a Tutsi trwały wprawdzie od wieków, jednak takiej rzezi pod koniec XX w. nikt się nie spodziewał. W zaledwie sto dni brutalnie zamordowano w tym kraju nawet milion osób, a morderstw dokonywano średnio co 8,5 sekundy. Każdego dnia Hutu zabijali ok. 10 tys. osób. Ofiarom strzelano w tył głowy, wbijano im nóż w oczy. Tutsi zabijano również maczetami lub gwałcono aż do śmierci. Część synów zmuszano do gwałcenia własnych matek. Zdarzały się też przypadki, gdy mordercy zmuszali kobiety pochodzenia Tutsi do jedzenia własnych noworodków.

Ludobójstwo w 10-milionowej Rwandzie niemal na żywo transmitowały największe telewizje świata, a zbrodniom bezczynnie przyglądali się żołnierze ONZ, którzy stacjonowali w Rwandzie. Nic w celu powstrzymania ludobójstwa nie zrobiły ani kraje UE, ani USA. Tym bardziej krzywdzący jest więc termin „ludobójstwo Tutsi", choć brutalnych morderstw dokonywały też oddziały Rwandyjskiego Frontu Patriotycznego, złożonego w większości z Tutsi, które podczas operacji odwetowych dokonywały masakr ludności Hutu w obozach dla uchodźców. Współcześnie w Rwandzie nie mówi się już o Hutu i Tutsi, gdyż polityczna poprawność każe mówić o jednej wspólnocie Rwandyjczyków. Zabójcy do dziś nie ponieśli jednak sprawiedliwej kary. Nie wyjaśniono też, jaką odpowiedzialność za ludobójstwo ponosi rząd w Paryżu, który w walce o polityczne wpływy w tej były belgijskiej kolonii celowo rozgrywał wielowiekowe napięcia etniczne.

Przykładem „wadliwego kodu pamięci" również dotyczącego ludobójstwa w Afryce jest termin „eksterminacja Herero i Namaqua". Chodzi o brutalne stłumienie przez wojska Cesarstwa Niemieckiego powstania afrykańskich ludów Herero i Namaqua na przełomie lat 1904 i 1905, które uznawane jest za pierwsze ludobójstwo XX w. Tak eksterminację tych dwóch plemion przez Niemców określił tzw. raport Whitakera opublikowany w 1985 r. przez ONZ. Niemcy pod wodzą gen. Lothara von Trotha, który postanowił nie tylko zdławić powstanie, lecz także „ostatecznie rozwiązać problem" z rdzennymi mieszkańcami, z zimną krwią wymordowali dziesiątki tysięcy osób, rozstrzeliwując ich za pomocą karabinów maszynowych, zatruwając studnie, a także wypędzając ich na pustynię i nie dopuszczając do źródeł wody. W 1905 r. Niemcy utworzyli też w zatoce Shark Island pierwszy obóz zagłady, przeprowadzali też na więźniach eksperymenty medyczne (uczniem Theodora Mollisona, który prowadził badania w Niemieckiej Afryce Wschodniej, był Josef Mengele). Rząd w Berlinie swe zbrodnie z początku XX w. uznał dopiero w sierpniu 2004 r., odmówił jednak wypłaty odszkodowań nielicznym potomkom tych członków plemion, którym udało się przeżyć (Niemcy doprowadzili do śmierci 80 proc. populacji ludu Herero i 50 proc. plemienia Nama). Dopiero pod koniec maja 2021 r. Niemcy ogłosili, że zapłacą Namibii 1,1 mld euro odszkodowania za popełnione w tym kraju ludobójstwo. – Od teraz będziemy to oficjalnie nazywać ludobójstwem. W świetle historycznej i moralnej odpowiedzialności Niemiec, prosimy potomków ofiar i poszkodowanych o wybaczenie za wyrządzone im okrucieństwa – oświadczył szef niemieckiej dyplomacji Heiko Mass.

OBRONA PORZĄDKU MORALNEGO

„Wadliwe kody pamięci" mają więc różny kontekst polityczny. Niekiedy mają prowokować do określonych zachowań. Wprawdzie nie zawsze używane są celowo, jednak bardzo często wzbudzają ogromne emocje. „Najważniejsze w nich jest to, że potrafią one – siłą języka – odwracać moralny porządek wynikający z lekcji, którą daje społeczności międzynarodowej historia. W odniesieniu do zbrodni ściganych przez społeczność międzynarodową są przez to niebezpieczne, gdyż skutecznie zacierają pamięć oraz ocenę działań, które do tych zbrodni doprowadziły. Podważają one przy tym prawo do prawdy, o które mamy – jako społeczność międzynarodowa – obowiązek upominać się nie tylko we własnym imieniu, lecz także w szczególności w imieniu ofiar" – zauważył prof. Nowak-Far we wstępie do wspomnianej książki „Wadliwe kody pamięci".

W walce z nimi doskonale służy podnoszenie ogólnego poziomu wykształcenia społeczeństw. U wykształconych odbiorców lub czytelników i widzów, którzy pamiętają dawne czasy, tego typu określenia nie są bowiem aż tak niebezpieczne. Już w przypadku młodych osób, które nie otrzymały wystarczającej edukacji, „wadliwe kody pamięci" mogą wywoływać fatalne w skutkach nieporozumienia. I chociaż każdy kraj ma prawo do obrony własnej narracji historycznej, to jednak każde państwo powinno też bronić porządku moralnego, który sprzeciwia się przemianie ofiar w sprawców i odwrotnie. Profesor Witold Kulesza słusznie zauważa zaś, że zbiorowa pamięć i prawda historyczna mogą być traktowane jako dobro społeczne chronione prawem karnym.

Warto więc uświadamiać liderom opinii, redaktorom i dziennikarzom w różnych krajach świata fakt istnienia „wadliwych kodów pamięci" oraz uczyć pracowników mediów, jak rozpoznawać tego typu zakłamania nie tylko w celu obrony prawdy, lecz także dla ochrony wiarygodności danego medium.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone